№ 6.

WARSZAWA, DNIA 7 LUTEGO 1863 R. 26 Stycznia.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

SŁÓW KILKA
O NOWÉJ POWIEŚCI WŁ. MALESZEWSKIEGO
POD TYTUŁEM
DZIECIĘ ŻMUJDZI.

Ze trzy to już temu miesiące, jak się skończyła w „Tygodniku Illustrowanym" jedna z najpiękniejszych, ogłoszonych dotąd przezeń powieści, pod tytułem: *Dziecię Żmujdzi*, przez Władysława Maleszewskiego. Przeczytawszy ją z niewymownem zajęciem, pod wpływem wzruszeń rzewnych a błogich, postanowiłem odezwać się o niéj publicznie, aby słowem serdeczném zalecić ją tym, którzy jéj dotąd jeszcze nie czytali. Że zaś mi szło szczególnie o podanie jéj do rąk niewiastom naszym, uwagi swoje o niéj do Tygodnika Mód przesyłam.

Inne zajęcia nie dały mi na razie spełnić postanowienia tego; a dziś, gdy to mogę uczynić, z tém większą skwapliwością zamiar swój uskuteczniam, że poczynając od 46 Numeru Tygodnika Mód, zacny jego Redaktor nową w nim rubrykę otworzył, w tym właśnie celu, aby swym Czytelniczkom wskazywać rzeczy godne czytania. Pomysł to bardzo chwalebny, jeśli należycie przeprowadzonym będzie, o czém zresztą wątpić nie mamy prawa; to niemałą przysługę ogółowi wyświadczy, i jeszcze więcéj sympatji zjedna temu pismu, które w skromnym zakresie swoim tak szczerze poczciwéj sprawie służy.

Nie pierwszy to raz spotykamy się z imieniem pana Maleszewskiego. Tygodnik Illustrowany dawniéj już dał nam poznać parę próbek powieściowych tego pisarza. Próbki te, jakkolwiek dość w nich było dowcipu i trafnéj charakterystyki życia towarzyskiego, nie miały przecież cech tak wybitnych, aby z nich można było jaki wniosek wyciągnąć o całéj donioslości talentu i o kierunku jego rozwoju; lecz *Dziecię Żmujdzi*, małym odstępem czasu od poprzednich oddzielona utworów, a o całe wieki wyższe już od nich i pomysłem, i obrobieniem, i dążnością, zapowiada wyraźnie, że w panu Maleszewskim piśmiennictwu ojczystemu przybywa bardzo zdolny, najszlachetniejszym duchem ożywiony pracownik, którego ze współczuciem szczerém witamy, z całéj mu duszy winszując tego natchnienia, które mu wielką odkryło tajemnicę, jak pro-

stemi na pozór środkami trafić do serc swych czytelników i do saméj głębi je wzruszyć.

Zadanie to, w ogóle niełatwe, dziś jest trudniejszém niż kiedykolwiek; w ciągu bowiem dwóch lat ostatnich tyle nam wieku przybyło, takeśmy spoważnieli, wyrośli, tak się duchem podnieśli, tak szeroki horyzont oczyma jego ogarniamy; że to, co niegdyś mogło nas zająć na długo, a nawet uwielbienie, entuzjazm wywołać, dzisiaj się istną zdaje błahostką, która najmniejszego interesu nie budzi, a nawet i niesmakiem przejmuje.

„Łatwiéj nam niegdyś było o bukiety,
Niżeli teraz o kwiatek.“

To téż z tém żywszą powitaliśmy przyjemnością powieść pana Maleszewskiego, która dziś nawet może się nazwać bukietem, i to z najświeższych kwiatów mowy ojczystéj. Wszystko w niéj swojskie: i tło obrazu. i każda postać na nim, i myśl zasadnicza, którą w sobie wyraża. Tłem jest Żmujdź święta i okolica Krakowa, z niespospolitym naszkicowane talentem, z wielką umiejętnością zestawione ze sobą i dziwnie uroczém światłem z góry oblane. Nalubować się dosyć nie można ani tym dworkiem w Ostepie, śród lasów, na szerokich żmujdzkich płaszczyznach; ani starym dworem w Woreńce, na Podgórzu karpackiém, do których z równą miłością serce nasze się garnie! Postaciami są: Jerzy Żyromski, malarz, artysta, z duszą najszlachetniejszą, pełną młodzieńczego zapału, poetycznych uniesień, wielkiéj tęsknoty i wielkiéj miłości. Jego przyjaciel, Michał Okolski, z sercem w gruncie poczciwém, ale z umysłem chorobliwym, spaczonym, mający szczęście gotowe, a nieumiejący dojrzéć go i ocenić, i goniący gdzieś za niém po najdzikszych manowcach niedorzecznych teorji. Żona Michała, Marja, Żmujdzinka, matka prześlicznego dziecięcia, z duszą cichą, wielkiéj pokory i rezygnacji pełną, umiejącą kochać z zaparciem się i poświęceniem zupełném, niepojęta, nieoceniona przez męża, a przecież gwoli mrzonkom jego szalonym gotowa złożyć w ofierze i Żmujdź swą ukochaną, i ojczysty dworek w Ostepie, i groby drogich rodziców, i wszystkie, wszystkie świętości rodzinnego zakątka, do których całém sercem przyrosła, których długo z wielkiém męztwem broniła, wyzucie się z nich uważając za zniewagę rodzicielskich popiołów, za krzywdę względem kochanego dziecięcia.

Siostra jéj młodsza, Leoncia, równie jak ona rozmiłowana w stronach ojczystych, nad które nic piękniejszego, nic godniejszego czci i miłości na całym świecie nie zna i znać nie pragnie: serce niepokalane, świeże, pełne szczytnéj prostoty, pełne pobożności głębokiéj; prawdziwy, najpiękniejszy typ polskiéj dziewicy, jak siostra jéj jest typem żony, matki, obywatelki polskiéj. Obiedwie te wdzięczne postacie najmocniéj zalecamy zacnym niewiastom naszym, ku rozmiłowaniu się w nich najserdeczniejszemu. Daléj pan Marcin, przezwany przez kolegów Kunusem, przyjaciel Jerzego i Michała, sąsiad Okolskich, Żmudzin duszą i ciałem, myśliwiec zagorzały, prosty, szorstki z pozoru, w sobie zamknięty, lecz z sercem najgorętszém i najzacniejszém, z ukształceniem niepospolitém, znający wielki świat boży, cuda natury i sztuki, umiejący się niemi lubować; lecz zamiast gonić za niemi, pragnący raczéj je przenieść na Żmujdź, do swéj Rumszanki, gdzie téż niejeden znakomity utwór pędzla lub dłuta dziwnie odbijał od skór niedźwiedzich i rysich, od łbów i rogów jelenich, od rusznic i oszczepów, któremi wszystkie ściany ubrane były. Na szczycie pan chorąży, dziadek Michała, postać pełna dziwnéj powagi i dostojeństwa, że nie powiem świętości, przed którą mimowoli czoło uchylić trzeba. Pan Maleszewski tak go charakteryzuje: Zanim wpatrzymy się w te posągowe, mieczem, ogniem i czasem poorane rysy, zanim w uściśnieniu doświadczymy siły jego dłoni, spytajmy się mogił rozsianych po całéj ziemi, spytajmy otwartych szlaków i warownych kresów, spytajmy chmur czarnych, wyrosłych z pogorzelisk; spytajmy łanów, zniszczonych ulewą lub ogniem z nieba; spytajmy wichrów, co waląc wszystko po drodze, zapadają w tatrzańskie otchłanie,—spytajmy, czy znają żelaznego chorążego? Niech powiedzą, czy uląkł się którego z żywiołów? czy powalony, nie podnosił się na nowo? czy kiedy zwątpił? czy bezsilną rozpaczą załamał ręce? i czy stąpał po grobie swych nadziei? Widziały go mogiły, bo własną ręką grzebał towarzyszy i braci swoich; widziały go wichry i burze, bo własną ręką poprawiał ściany pradziadowskiéj siedziby; widziały ulewy i ognie z nieba, bo dzieląc się z swą wioską ostatniém ziarnem, uzbieraném na folwarcznéj niwie, sam walczył z głodem; widziały go pożary, bo starcem już biegł w ogień, by wyratować nie własne skarby, lecz dzieciątko ostatniego sługi, dzieciątko, którego przyszłość była jeszcze ukrytą w wyrokach Boga. Wszystkie klęski, jakie zaznał kraj i ludzie, nie minęły chorążego; każda z nich wyzwała go na próbę: wszystkie przerażały go mogiłą, zgliszczem i próchnem; a on nie dał się strzaskać piorunem, podniósł się zaraz o własnéj sile, zwrócił głowę ku niebu i zbudził serce, które na nowo wierzyć i pragnąć zaczęło.“

Godziłoby się jeszcze słówko poświęcić i dziecięciu państwa Okolskich, dwuletniemu chłopczy-

nie, lecz nie podobna streścić tych wdzięcznych rysów, jakiemi je autor nakreślił, zwłaszcza w prześlicznéj, prawdziwie artytystycznéj scenie w wagonie, w podróży z Krakowa do Wareńki.

Nakoniec, co do myśli zasadniczéj, tą jest wzniośle pojęta miłość przeszłości, miłość ziemi ojczystéj i rodzinnego gniazda, miłość prawdziwa ludu i obowiązki obywatelskie. Dokładne ocenienie téj znakomitéj strony powieści, zanadtoby wiele miejsca zajęło, a co gorsza, staćby się mogło suchą rozprawą; wolę więc znów się wyręczyć słowami samego autora:

„Michaś nie wiedział, że nie w maszynie, nie w przędzalni, nie w serach holenderskich, wyrabianych z krajowych owiec, spoczywa dyplom na obywatelstwo, lecz przede wszystkiém w spełnianiu obowiązków przekazanych nam od wieków, a niespełnionych do dziś dnia...

„My tyle mamy długów do spłacenia po ojcach i dziadach, że poświęcając wszystkie swe siły, zdolności i pragnienia tylko przemysłowi, stajemy się osobistemi dłużnikami obecnéj chwili, wyparłszy się długu ojców, który najuboższy syn przyjąć na siebie powinien. Nikt się nie rodzi ani rolnikiem, ani przemysłowcem, ani mędrcem, lecz każdy rodzi się szafarzem i stróżem skarbów złożonych w jego sercu i umyśle; droga szafunku tego i sposób stróżowania, oddalają nas lub zbliżają do miana obywatela. Bo obywatelstwo nie zdobywa się bez pracy, a pracą tą jest pełnienie obowiązków, jakie nam wszystkim zarówno przypadły. Człowiek rodzi się obywatelem kraju, dowodzą niektórzy; lecz obywatelstwo takie zapisane jest tylko w akcie metrycznym lub księdze ludności; obywatelstwo zaś święte w obliczu narodu, święte w obliczu potomności, zdobywa się życiem, a nie urodzeniem; bo życiem, a nie urodzeniem piszemy wyrok na siebie.

„Życiem, a nie urodzeniem! Więc nietylko dziedzic włości, nie tylko urzędnik, nie tylko bogacz mają prawo zdobywać sobie imię obywatela kraju, ale najuboższy członek społeczeństwa, ale człowiek w siermiędze nawet może się o nie dobijać, jeżeli tylko ubóztwo i siermięga nie będą obrazem ubóztwa duszy, szorstkości umysłu. Obywatelstwo dopiero nadaje prawa i przywileje. Wszyscy mogą powietrzem oddychać, wszyscy grzać się przy słoneczném cieple, ale niewszyscy mogą rządzić i strzedz arki, od któréj klucz tylko dla wybranych przystępny. Człowiek mniemający, że wszelki grosz użyty po za progiem rodzinnéj chaty, jest zmarnowany, który nie dojrzał ogniwa, jakiém jest połączony z całym społecznym łańcuchem, który przy żadnéj uczcie narodowéj nie potrafi być obecnym myślą, uczuciem—człowiek taki nie spełnia obowiązków obywatela.

„Gdyby na postępie materjalnym wszystko się zasadzało, jakżeby spłacili długi ojców ci, którzy żadnych skarbów ziemskich nie posiadają? Pieniędzmi długów swych nie spłacimy. Najprzód spełnijmy całą siłą ducha to, co każdy ubogi spełnić może i powinien, a potém dopiero występujmy w roli bogaczów, i resztę sił umysłu, resztę bogactw poświęćmy temu, z czego się szczycą obce narody. Kto tak szczęśliwy, że może pracować równocześnie na jednéj i drugiéj drodze... pracować powinien; ale niech nigdy głos przemysłowca nie zagłuszy głosu obywatela!...

„Obywatelstwo, to szczyt, do którego prowadzą ze wszystkich stron ścieżki jednako proste: im więcéj trutniów nawrócimy i pchniemy na te ścieżki, tém więcéj upłacimy długu ojców naszych. A na ścieżki te dajmy dziś wejść każdemu: my chrześcijanie, więc odrzućmy pogańskie obywatelstwo, zniesmy przywileje *świętéj góry* i zrozumiéjmy, że gdy Werres siecze rózgami, nietylko potomek patrycjuszów ma prawo wygłosić straszną skargę: „Sędziowie! obywatel rzymski jest chłostany!“ lecz każdy kto ma duszę, a w duszy światłość niepokalanéj miłości!...“

Ustęp ten, z taką mocą wypowiedziany, ściąga się do Michała Okolskiego, który, zrodzony w Galicji, ożeniwszy się ze Żmujdzinką, i na Żmujdzi w jéj ojczystém gnieździe osiadłszy, zamyślił stać się cywilizatorem tego ciemnego kraju, a to za pomocą fabryk i maszyn różnych, którym z namiętnością się oddał. A gdy ta jego praca zaciekła ani na drodze materjalnéj, ani na moralnéj najmniejszych nie przyniosła owoców: gdy majątek podupadł, a sąsiedzi na mniemanego cywilizatora zaczęli patrzéć jak na dziwaka i żartować z niego po cichu, zrażony, rozdrażniony, postanowił sprzedać jakiemuś Holendrowi dobra swéj żony, i tam się przenieść, gdzie obszerniejsze pole do prac swych znajdzie, gdzie lepiéj pojętym i ocenionym będzie; w razie zaś, gdyby żona temu się sprzeciwiała, rozwodem wszystko zakończyć.

Pan Maleszewski, w niniejszéj swéj powieści, z wielką siłą i szlachetnym zapałem broni świętości rodzinnego gniazda, dobrze się posługując w téj mierze panem chorążym, Marją, Leoncią, Kunusem i całą szlachtą żmujdzką, u niego na naradę zebraną, a pełną najwyższéj zgrozy na wieść o zamiarze Okolskiego. Piękna to scena, piękny wniosek jednego z obradujących, aby pana Michała za zbrodniczy ten zamysł ukarać zwróce-

niem mu pieniędzy danych do składki na założenie szkółek ludowych, jako ofiary z rąk nieczystych, złożonéj bez miłości; bo nie kocha ten ludu, kto go w obce ręce chce oddać. Piękna jest anegdota o marnotrawcy mienia praojczystego, co za przefrymarczenie świętéj przodków puścizny z jakimś przybyszem, skazanym na straszliwą pokutę, która wtedy dopiero skończyć się miała, kiedy na stu kamieniach wykuł dla nauki czasów potomnych datę spełnienia téj zbrodni.

Trzebaż objaśniać, jak wzniosły jest cel w tém wszystkiém? Trzebaż dowodzić szerokiém rozumowaniem, jak zgubne, jak okropne są skutki frymarczenia ojców puścizną, czy to przez marnotrawstwo, czy to w widokach zysku? Któż nie wié, że miłość rodzinnéj strzechy jest podstawą miłości rodzinnéj ziemi; że tradycyjne stosunki dziedzica z ludem i miłość ich wzajemna, są podstawą stosunków i miłości dwóch przeważnych stanów w narodzie...

Okolski nie kochał ludu, w dziecinnych bowiem leciech był świadkiem straszliwéj jego niewdzięczności. W Warence właśnie, stryj jego, który był prawdziwym ojcem swych włościan, poległ z ich ręki. Konając wprawdzie wołał na synowca: „Kochaj ich, pracuj dla nich!“ ale nie zrozumiał tego świętego głosu, i lat doszedłszy, nad machinami pracował, by niemi lud zastąpić, z którym nic mieć nie chciał wspólnego... Lecz chorąży przeciwnie, ten przebaczył mordercom swojego dziecięcia, ten po dawnemu ich kochał, i w dworcu swym, w téj saméj izbie, gdzie przez nich zbrodnia była spełnioną, szkółkę dla ich dzieci założył... Kochał ich i pracował dla nich!

Ma się rozumiéć, że Michał, po długiéj walce, pod wpływem takich szczytnych przykładów, musiał nareszcie przejrzéć, i przejrzał téż naprawdę; a i walka i ostateczny tryumf bardzo umiejętnie w powieści téj przez pana Maleszewskiego przeprowadzone.

Lecz widzę, że uwagi moje o tym utworze, już zanadto obszerny rozmiar przybrały, i z wielkim żalem muszę o zakończeniu ich myśléć, choć jeszcze bardzo wiele radbym powiedziéć, a nawet zacytować kilka ślicznych ustępów... Nic mi więc nie pozostaje, jak tylko odesłać was do saméj powieści, w któréj szczególnie uwadze waszéj polecam wszystkie sceny w Warencie, a zwłaszcza rozmowy Leonci z dziadkiem i z panem Jerzym, rozmowę Okolskiéj z mężem i Okolskiego z chorążym.

Pożądaną byłoby rzeczą, aby ta wdzięczna powiastka rychło w osobnym wyszła odbitku, aby się w ręku każdéj polskiéj dziewicy znalazła, bo mało jest utworów, któreby matka, z równém jak ten bezpieczeństwem o umysł i serce swéj córki do rąk jéj podać mogła. A zresztą i matka sama przeczyta tę książeczkę z przyjemnością prawdziwą i niejedną łzę słodką nad nią uroni, i w sercu się błogo orzeźwi i odświeży, i umysłem się wzniesie i otuchy nabierze.... Nie arcydzieło to wprawdzie: krytyka zimna możeby tam i usterki jakieś znalazła; lecz gdy na arcydzieła wieki czekać musiemy, gdy to, co wszelkim wymogom krytyki odpowiada, niezawsze do serca trafia, więc pewny jestem, że kto się tylko nie wyzuł ze świętych uczuć rodzinnych, ten z prawdziwém upodobaniem i serdeczną pociechą *Dziecię Żmujdzi* przeczyta,—i dlatego to raz jeszcze powiastkę tę zacnym Polkom zalecam.

Owrucz 20 Listopada 1862 roku.

Adam Pług.

ZNALEŹNE.

(z Getego).

W majowéj dobie
W poranny czas—
Szedłem, tak sobie,
I wszedłem w las.

W cieniu, pod krzakiem
Kwiatek się skrył—
Jak oczko piękny,
Jak gwiazdka lśnił.

Chciałem go zerwać,
Rzekł czule mi:
„Czy na zwiędnięcie
Potrzebnym ci?“

Więc wykopałem
Z ziemią, gdzie rósł,
I w mój ogródek
Wesoło niósł.

I zasadziłem,
Korzonki skrył—
I kwiatek w ciszy
Znów rósł i żył.

J. G...

* * *

Według otrzymanych wiadomości z Poznańskiego, w nocy z dnia 20 na 21 Stycznia b. r., w okolicy miasta Środy miała miejsce ogromna burza z ulewnym deszczem i szalonym wichrem, wyrywającym drzewa z korzeniami i przewracającym całe budyn-

ki. Około północy, w pośród przerażającéj ciemności dał się słyszéć głuchy grzmot, jakby się ziemia pruła w kawałki, silne błyskawice rozwidniały cały widnokrąg, a potém nagle prawie nastąpiła dosyć długa cisza, w pośród któréj z wielkiém przerażeniem uczuto trzęsienie ziemi, powtarzające się razy trzy to słabiéj, to silniéj. Zaledwie przestraszeni mieszkańcy cokolwiek ochłonęli z przerażenia, gdy wicher z podwójną zadął wściekłością, deszcz lunął nowemi strumieniami, a niebo zahuczało grzmotami, rzucając błyskawicami na całą okolicę.

U nas w Warszawie żywioły powietrzne znacznie są spokojniejsze; o trzęsieniu ziemi nawet nie ma mowy, ale za to pora obecnego czasu nadzwyczaj jest niestałą, i w przeciągu jednéj godziny miewamy deszcz, śnieg; suche chodniki, oczyszczone jakby wiosennym wietrzykiem; albo zabłocone, jak to umié robić późna jesień, lub odwilż zimowa. Ogólnie jednak, Bogu dzięki! czas jest tak ciepły i miły, tak nic w nim nie ma zimowego, że jeżeli czasami pokażą się małe płateczki śniegu, to i dziwią i gniewają zarazem, i witamy je z niechęcią jako przybyszy niemiłych i niepotrzebnych.

Jeżeli przepowiednie jednego z meteorologów wiedeńskich, ogłaszane już od trzech miesięcy z wielką i podziwienia godną trafnością, sprawdzą się, to cały Luty będzie równie łagodny jak Styczeń; Marzec ma być już chłodniejszy od swych poprzedników, a Kwiecień dopiero obsypie świat śniegiem, chociaż Maj z zielenią i ze słowikiem tuż będzie za pasem. Ale śnieg taki już mnie tyle nie straszy, chociaż radbym z duszy serca, aby przepowiednia uczonego badacza tym razem przynajmniéj spotkała się z zawodem.

O Gdańsku, tym bogatym handlowym grodzie, należącym do składu dawnéj Polski, pisma nasze podają bardzo zajmujące szczegóły. Język nasz, powiada autor, dziś już tu tylko pomiędzy niektóremi świeżo osiadłemi rodzinami i ludnością roboczą na przedmieściach używany, dawniéj był bardzo upowszechniony, o czém nawet świadczą sami niemieccy historycy. Pomijając czasy, z których polskie nazwy miejscowe są najlepszém świadectwem, że je polska wzniosła ręka, w XVI wieku język polski tyle był używany w Gdańsku, co i niemiecki. We wszystkich kościołach odbywały się kazania po polsku i niemiecku, a u świętych: Jakóba, Katarzyny i Bartłomieja, wyłącznie w polskim języku. W początku następnego wieku nie podobna się było obejść bez znajomości polskiego języka; dlatego pedagog Mankisch najusilniéj zaleca liczne ćwiczenia po szkołach gdańskich, żeby prędko i biegle dzieci po polsku mówiły. Synowie najpierwszych rodzin wysełani byli w okolice, gdzie tylko mówiono po polsku, a to jedynie w celu osiągnięcia biegłości w tym języku. Z początkiem XVIII wieku język polski w coraz powszechniejsze wchodził użycie, i w szkołach uczono go z wielką gorliwością. Skutkiem tego, kaznodzieja Moneta tłómaczył niemieckie protestanckie pieśni kościelne na język polski, wydał podręczną książkę do nauki języka polskiego, i śpiewnik polskiego kościoła. Kaznodzieja Jan Bogumił Gusowius, w roku 1781, założył polskie duchowno-poetyckie towarzystwo, i przetłómaczył wiele kazań i pieśni na język polski. Z Gdańska pochodził sławny Jan Dantyszek, jak również znany w historji polskiéj Rybinius, czyli Rybiński, a ostatnim pisarzem polskim i zarazem ostatnim kaznodzieją ewangelickim polskim w tém mieście był znany powszechnie Mrongowiusz.

Co do handlu, Starowolski powiada: „Polska swojém zbożem mogłaby dwa Królestwa podobne wyżywić, będąc żywicielką tylu postronnych krajów, a osobliwie Holandji. Gdyż jako przedtém Sycylja i Egipt dodawały chleba Rzymianom, tak Polska całéj Europy jest spichlerzem. Roku 1392 trzysta okrętów przypłynęło do Gdańska z Francji, Anglji i Holandji, które naładowane zbożem powróciły do domu. W roku 1565 tak wiele zboża z Polski nawieziono, że się w spichlerzach gdańskich pomieścić nie mogło.“ Tenże dodaje, że przypłynęło raz do Gdańska 5,000 statków ze zbożem za jednym prawie razem. Statek zaś ładowny może więcéj wziąć tysiąca korcy; co wyniesie na 4,000,000 korcy zboża, co ledwo jest trzecią częścią obfitości, gdyż oprócz spędzonych krajowych potrzeb, do Szlązka i w inne strony bardzo wiele wychodzi zboża.

Ładowski w historji swéj, wydanéj w roku 1783, powiada, że dla cła bordońskiego handel zboża tak upadł, że co przedtém co rok wyprowadzano do Gdańska zboża po 60,000 łasztów, czyli po 3,600,000 korcy gdańskich, a do Królewca 20,000 łasztów, teraz i do tysiąca onych nie wychodzi.

Czytając te szczegóły, smutnie zadumałem się nad niemi.... niedarmo téż powiedziano: świat kołem się toczy.

W Rzymie, owéj stolicy kościołów, modlitwy i owego granitowego *non possumus*, w ubiegłym miesiącu miało miejsce urzędowe przyjęcie u Papieża posła portugalskiego, księcia Saldanha, które wszystkich olśniło wystawą i przepychem. Książę mieszka w pałacu księcia Torlonia, który dorobiwszy się bajecznego majątku, nabył go jedynie w celu dawania w nim balów, i dlatego w gmachu tym, podobno na świat cały najwspanialszym i najkunsztowniejszym, nie mieszkano, tylko tańczono.

Na przyjęciach przed dwudziestą laty, według opowiadania naocznych świadków, dziwne działy się rzeczy, prawie nie do uwierzenia. Obok księcia stał tak zwany *complimentario,* czyli komplimentarz, urząd dochowany jedynie w Rzymie, trzymający w ręku spis zaproszonych osób, z wymienieniem szczegółowém w cyfrach ilości przez każdego z gości posiadanego majątku. Jak więc tylko który wchodził, woźny głośno wymieniał nazwisko przybyłego, complimentario szeptem wypowiadał panu swemu cyfrę majątkową przybyłego, a jaśnie książę stosownie do jéj wielkości stosował głębokość ukłonu i ilość kroków naprzód postąpionych. Z czynnością zaś tą tak był oswojony, tak pewny siebie, że widz cokolwieczek tylko z podobną rachunkowością salonową obeznany, mógł matematycznie z postawy gospodarza dojść *quantum* majątku każdego gościa. Widać, że nie tak łatwo zapomina się przeszłości nawet pogańskiéj, i że niewszystko święte, co gwałtem za takie chce uchodzić.

Z tego to pałacu poseł portugalski w samo południe wyruszył do Watykanu, dla urzędowego złożenia swych urzędowych listów. Pomimo wylewu Tybru, coraz bardziéj wzbierającego, lud rzymski zebrał się licznie, by się pochodowi poselskiemu przypatrzéć. Pochód otwierał się oddziałem dragonji papiezkiéj, z trębaczem na czele. Daléj postępowało pieszo upudrowanych lokai 12, w zielonéj ze srebrem liberji, a jeden z nich niósł na błękitnéj, aksamitnéj, złotem wyszywanéj poduszce listy Ludwika I, Króla Portugalji i Algarwji. Za nimi jechał poseł sam jeden, w zielonéj karecie, o sążnistych herbach, nabijanéj srebrem i zdobnéj zewsząd wsrebrne floresy i delikatne sztukaterje. W karecie uprzężone były cztery rosłe kare konie, w srebrnych szorach, z kitami pomiędzy uszami z trójkolorowego pióropuszu, kierowane przez zielono ustrojonego forysia, bez woźnicy. Książę Saldanha miał na sobie marszałkowski mundur, okryty cały orderami i wstęgami, palone buty, i siedział z odkrytą siwą głową poważnie i tajemniczo, jakby od ceremonijału tego zależało życie miljonów i losy przynajmniéj Europy. Za karetę poselską ciągnęło sześć innych, równie zielonych karet, ale już parokonnych i mniéj okazałych, mieszczących w sobie wszystkich urzędników poselstwa. U drzwiczek każdéj z nich postępowało po dwóch służących, a za karetami jechał drugi oddział papiezkiéj dragonji, zamykając orszak poselski. Wszystko to wolno, sztywnie, coś jak marjonetki, noga za nogą udało się do Watykanu, a po odbyciu ceremonijału, przyjęcia podług odwiecznéj etykiety dworu rzymskiego, tym samym krokiem orszak dla zdumienia całego miasta przeciągnął w powrocie przez Corso.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

—*Bibljoteka Warszawska,* Styczeń.—W wierszu Teo. Lenartowicza, pomieszczonym na czele zeszytu, pod tytułem: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* sędziwy dziadek przeczuwając chwilę śmierci, prosi o spowiedź kapłana, któréj dopełniwszy, tak do niego przemawia:

„Mój dobrodzieju, już mi nic nie trzeba,
Kiedyć mówicie, że pójdę do nieba,
I że mieć będę nad sobą opiekę:—
Jasno widzicie, cóż ja prostak rzekę,
Kiedy już stanę przed majestat Boży?
Cóż to człek powié, jak usta utworzy?
Wśród tylu świętych i ślicznych aniołów,
Ja taki prostak zwyczajny od wołów;
Com jeno z ptaki i ze zwierzem gwarzył,
Jakżebym w niebie odzywać się ważył?
Otóż mnie teraz to największą troską,
Co ja tam powiem przed jasnością Boską?“
A proboszcz rzecze: „Co się mówić godzi,
Kiedy się między dobrych ludzi wchodzi;
Oto skłoniwszy się na wszystkie strony,
Mówi się: Niechże będzie pochwalony!“
„Toć prawda, prawda! staruszek zawoła,
Z dziwną jasnością pogodnego czoła,
Z podniesionemi do góry ramiony:
Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!“

Daléj następuje artykuł pana A. Przezdzieckiego: „Królowa Elżbieta, żona Zygmunta Augusta“, obejmujący ważne korrespondencje między królową Boną, baronem Herbersteinem, synem jéj, synową i ojcem Elżbiety, aż do śmierci téjże w 19 roku życia.

Zajmującą jest również „Podróż nad Dunajem i Adrjatykiem“ przez A. Patona, z angielskiego przełożona. Po trajedji Hekube Eurypidesa, przełożonéj przez Zy. Węclewskiego, z zatrzymaniem barwy odległéj starożytności, następuje kronika paryzka, jak zwykle ciekawa i naucząjąca. Donosząc o wydawaniu wszystkich prac sławnego chemika Lavoisiera, kronikarz przytacza szczegół z ostatnich chwil jego życia. Wiadomo, że uczony ten, którego wiedza mogłaby wsławić nie jednego, ale kilku ludzi, skazany został na śmierć przez trybunał rewolucyjny. Skoro się dowiedział o wyroku śmierci, Lavoisier nawet w więzieniu jedynie nauką zajęty, podał do władzy prośbę, żeby mu dozwolono skończyć pracę, którą za pożyteczną dla kraju uważa. Odpowiedziano mu, że rzeczpospolita nie potrzebuje ani uczonych, ani chemików, że zatém bieg sprawiedliwości nie będzie przerwany. I zginął ojciec chemji dzisiejszéj, ale i rzeczpospo-

lita upadła. Daléj w kronice mieszczą się wyjątki z listu Wiktora Hugo, napisanego z powodu rozpraw, mających się toczyć w Genewie nad zniesieniem kary śmierci. Całą potęgą słowa powstając przeciw temu niechrześcijańskiemu prawu, Hugo powiada: „W chwili, kiedy Europa się cofa, niechaj Genewa postępuje. Znieście u siebie karę śmierci; byłoby wzniośle poddać pod oczy i pośrednictwo ucywilizowanego świata, po jednéj stronie Rzym, który skazuje i potępia, po drugiéj Genewę, która przebacza wedle Ewangelji. Ludu! mówi daléj, nie bądź niewdzięczny. Niech nie będzie powiedziano, że w tym zakątku ziemi, gdzie Bóg pokazuje tajemnicze splendory Alp, Rodanu, niebieskiego Lemanu i Białéj góry w słonecznéj aureoli, człowiek na podziękę w zamian pokazuje Bogu.... gilotynę.

—*Kalendarz dziesięciogroszowy*, wydany staraniem Redakcji Bibljoteki Warszawskiéj, ozdobiony drzeworytami, obejmuje artykuły, jakkolwiek nie z wielkim napisane talentem, ale zawsze z pożytkiem dla właściwych czytelników. Kalendarz ten, pomimo tak nizkiéj ceny, stanowi książeczkę dosyć sporéj objętości, i jest dowodem poczciwych i zacnych starań Redakcji, godnych największego uznania. Gdyby przy tych chęciach była odpowiednia znajomość potrzeb umysłowych ludu naszego, i jak im zadosyć uczynić; wydawnictwo Redakcji w tak zacnym przedsiębrane celu, potrójnéj nabrałoby wartości.

SZARADA.

Ot szaradka: *trzecia druga*,
Czwarta pierwsza nie jest struga;
Wszystkie służą do pisania—
Teraz szukać rozwiązania. *A. T...*

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Urojenie**).



Zwiedzaliśmy w tych dniach Zakład świętéj Marty, który przyjmuje wszelkie obstalunki do szycia i do haftu. Oprócz tego można tam dostać wiele gotowych przedmiotów, jak: kaftaników nocnych i rannych, czepeczków, sukienek i fartuszków dla dzieci, po nader umiarkowanéj cenie.

Zwróciły uwagę naszą poszewki płócienne do zwyczajnego użycia; zamiast guzików i dziurek opatrzone płóciennemi troczkami, co ma być, jak mówią, praktyczniejsze. Takich troczków z płótna lub z nicianéj tasiemki, szerokiéj na dwa palce, jest pięć par, długich blizko na ćwierć łokcia. Inne, ozdobniejsze od tych poszewki, mają szeroki obręb przeszło półćwierciowy; nad nim w środku piękna cyfra, haftowana atłaskiem, po boku idą guziki i dziurki dane na obrębie. Wyhaftowanie cyfry kosztuje złp. 4, uszycie poszewki złp. 2 gr. 20.

Chustki do nosa płócienne znaczą powszechnie ściegiem atłaskowym. Cena dwóch liter w Zakładzie świętéj Marty wypada tylko po gr. 10; za obrąbienie płaci się osobno gr. 5. Naznaczenie serwety kosztuje około gr. 18. Większa cyfra, haftowana bawełną i gotowanym jedwabiem czarnym, wynosi od złp. 1 do złp. 3 gr. 10.

Chustki batystowe znaczą bardzo skromnie, lecz starannie. Cyfra daje się na tarczy, lub téż w dwóch medaljonach. Cena haftu różna, stosownie do wielkości deseniu i delikatności roboty; najtańsze widzieliśmy po złp. 1 gr. 10, najdroższe po złp. 5.

W formie koszul damskich nie zaszła w tym czasie żadna zmiana. Wszystkie przymarszczają się w górze i wszywają w pasek haftowany, lub w karczek zakończony zębem. Uważaliśmy między innemi koszule z cienkiego perkalu angielskiego *szyrting*, z batystowemi paskami u szyi i u rękawków. Więcéj jednak podobają nam się koszule płócienne, choćby nie tak cienkie i mniéj ozdobne, gdyż nie żółkną po praniu, i przy dzisiejszém podrożeniu bawełny nie kosztują więcéj od perkalowych.

Z gotowych przedmiotów, w składzie świętéj Marty dostać można koszul męzkich, odrobionych bardzo starannie, z trzema zakładami, po złp. 10.

Kaftaniczki nocne dymkowe w drobny rzucik, z dwoma klapkami po bokach, spięte na guziczki, wypadają na złp. 24; klapki, równie jak kołnierzyk i mankiety u rękawów obszyte są wązką falbaneczką dymkową, dzierganą u brzega.

W téjże cenie dostanie kaftaników żaknotowych w zakładki, przybranych haftowaną wszywką. Strojniejsze od tych, naszyte na karczku wszywkami i falbankami, wypadają od złp. 33 do 60 złp.

Czepeczki półbatystowe okrągłe, w rodzaju chłopek, ogarnirowane rurkowanym półbatystem, z szerokiemi szarfami, kosztują po złp. 10. Muszlinowe, przybrane wszywką i tiulikiem, wypadają po złp. 13; jeżeli koroneczka przy nich w lepszym gatunku, dochodzą do złp. 20.

Zasługują także na wzmiankę bluzki dla małych dzieci białe żaknotowe, przybrane wszywkami i falbankami. Cena ich od 8 do 15 złp. Wszystkie prawie mają wygarnirowany przód spódniczki.

Najstrojniejsza z nich sukieneczka biała pikowa,

fałdowana do karczka w grube kontrafałdy, przybrana była na fałdach pięcioma słupkami z piki, naszytemi białym sutaszem w grecki deseń. Cena jéj złp. 22. Uważaliśmy oprócz tego zgrabne fartuszki i koszulki dla dziewcząt różnego wieku, równie jak powłoczki na długie poduszki do piastowania małych dzieci, ozdobione falbankami i troczkami do wiązania.

Piękny jest także zbiór kołnierzyków z cienkiego płótna, haftowanych białą bawełną, lub czarnym jedwabiem. Forma ich rozmaita; najwięcéj widać prostych z tyłu, a odwiniętych po rogach; mankietki do nich rozcięte w środku, z odwiniętemi na dwie strony rożkami, lub téż szerokie, jak u mężkich koszul. Kołnierzyk z mankietkami wypada na złp. 5 i na złp. 6 gr. 20, bez szmizetki.

O sukniach nie mamy nic nowego do powiedzenia; zalecają się wszystkie wielką prostotą i skromnością. W magazynie panien Kuhnke uważaliśmy dwie wełniane, odrobione bardzo starannie, lecz bez kosztownych ozdób. Jedna z nich, czarna rypsowa, miała spódniczkę gładką: zamiast stanika szła kamizelka spięta na wypukłe guziki. Na to kładł się kaftanik dosyć długi, wcięty do figury, lecz roztwarty z przodu, tak że nie przysłaniał kamizelki. Kaftanik ten obłożony był wkoło astrachaniją czarną, za którą szły pletnie szmuklerskie z baryłkami, zapinane na przodzie. Kieszoneczki po bokach haftowane, odznaczone były astrachaniją, równie jak klapy u rękawów.

Druga suknia, także rypsowa czarna w białe podłużne paseczki, miała spódniczkę naszytą nad obrębem trzy razy czarną wełnianą plecionką. Stanik spinał się na gęste guziki rogowe; po każdéj stronie guzików szły trzy rzędy plecionki. Rękawy suche i zamknięte, spięte były na szwie idącym od łokcia trzema wielkiemi guzikami; w małym odstępie, poniżéj ramienia, dana była na rękawie bufa pomiędzy dwoma falbankami, z główką, układanemi w kontrafałdy. Pasek bez końców naszyty był trzy razy plecionką.

Z czepeczków zasługują na uwagę okrągłe chłopki, zwane *Clotilde*. Jedna z nich biała illuzjowa, cała przymarszczona w poprzek, naszyta była listkami czarnemi koronkowemi. Garnirowanie składało się z ruszy illuzjowéj, rozszerzonéj nad czołem, objętéj dwa razy wąziuchną plecioneczką czarną. Kilka pęczków z wstążeczki czarnéj z białym brzeżkiem, dopełniało z przodu ubrania. Z tyłu spadała kokarda z końcami.

Drugi czepeczek czarny z tiulu koronkowego w czarne kółka, tém się tylko różnił, że miał po bokach spadające ku tyłowi końce tiulowe, obszyte koroneczką; przybrany był w diadem koronką i pukielkami z wązkiéj wstążeczki czarnéj.

Nowości Zagraniczne.

Musée des familles.—Przytaczamy tu kilka całkowitych ubrań:

Na rano. Szlafroczek wełniany, z wielką peleryną, ozdobioną aksamitkami. Czepeczek okrągły muszlinowy, ogarnirowany muszlinem i wązką gipiurką. Kołnierzyk i rękawki webowe, wyszywane czarną bawełną.

Ubranie codzienne. Suknia z alpagi czarnéj. Na spódniczce trzy falbanki z główką, szerokości około ćwierćłokciowéj. Rękawy ścięte od łokcia, z wyłożonym mankietem. Stanik gładki, spięty na guziki. Kołnierzyk i rękawki muszlinowe. Kaftaniczek grecki sukienny, wyszywany sutaszem.

Opis ryciny.

Fig. 1. Suknia czarnn mantynowa, obszyta u dołu falbaną nakrytą w odstępach koronką ułożoną nakształt wachlarza, z zakończeniem w górze gwiazdą aksamitną, z otoczeniem koronkowém. Między sześcioma falbankami mantynowemi, siódma falbanka aksamitna, cokolwiek szersza. Stanik otwarty, garnirowany falbankami. Rękawy dosyć obcisłe, przyozdobione epoletami, obszytemi bufką mantynową i marszczoną koronką. Rękaw od łokcia ścięty do ręki, spojony jest aksamitką w drabinkę. Szmizetka i rękawki muszlinowe, garnirowane ruszą, z obszyciem czarném koronkowém i wązkiemi aksamitkami. Kapelusz czarny aksamitny, ubrany piórami i kwiatami jedwabnemi.

Fig. 2. Suknia czarna *poult de soie*, ubrana u dołu kwadratami atłasowemi, aksamitką i jedwabnemi kwastami. Okrycie sukienne, wyszyte sutaszem, obłożone czarna materją i guzikami. Pelerynka spiczasta, z obudwóch stron zachodzi aż za stan, i odpowiednio przybrana sutaszem i materją. Rękawy paltotowe dosyć obcisłe. Kapelusz jedwabny z materji *gros grain*, ubrany piórami i kwiatami aksamitnemi. Kołnierzyk i rękawki muszlinowe haftowane.

Fig. 3. Ubranie dziewczynki: Suknia popelinowa z fałdowaną falbanką u dołu. Stanik gładki, zapięty pod szyję. Rękawy fałdowane przy ramieniu i zapięte na mankiety około rąk. Kardynałka (collet) sukienna, fałdowana z tyłu koło szyi, u dołu obszyta pięć razy wstążeczką jedwabną. Kołnierzyk przy niéj jedwabny. Kapelusz okrągły aksamitny, ozdobiony dwoma czarnemi i białém piórem. Siatka kordonkowa.

KORRESPONDENCJA.

Panu X. X. K...—Pomocy chętnie udzielimy, tylko prosimy jasno wyrazić, czego od nas interesantka żądać może. Dla bliższego parozumienia raczy się pan X. X. K. do nas zgłosić.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka z modami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MÓD

N° 6. –

Dodatek do Nru 6 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 7 Lutego 1863 roku. *26 Stycznia.*

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ I.

Fit retribution.
Lord Byron.

(Dalszy ciąg).

— Dom tych państwa Rożniszewskich...

— Rożniszewskich?! Tak nazywa się dziedzic Żarczyna, graniczącego z Mrowinem.

— Być może, że to są ci sami. Bardzo majętni, dom prowadzą duży: pałac piękny, ogród wielki angielski, pisma wszelkie, nowe dzieła; wszystko nęci.

— Więc chciałabyś nas opuścić?—zawołała matka z żalem.

— Opuścić? mamo! — i dotkliwie draśnięte uczucie odbrzmiewało w tych wyrazach młodéj dziewczyny. — Mamo droga! nie chciałabym się nigdy, nigdy z wami rozstawać... ale... teraz lepiéj, jak późniéj, — dodała ciszéj.

— Rozumiem ciebie, Anko, rozumiem! — uścisnęła głowę ukochanego dziecka i pocałowała ją w czoło. — Wybacz, moja dzieweczko jedyna, kochana!... mnie tak ciężko z tą oswoić się myślą, że mnie żal głęboki nieraz i niesprawiedliwą czyni... A dalekoż ztąd ci państwo Rożniszewscy mieszkają?

— W Trocku, pod miasteczkiem Z... Jedzie się koleją sześć, siedem godzin, a potém jeszcze trzy mile szosą.

— To i moglibyśmy się widywać czasem.

— Zapewne, mamo najdroższa! Za tém miejscem mówi wszystko, nie prawdaż?

Matka czyniła jeszcze różne pytania, na które Anna zadowalająco odpowiadała. Rozważała, rozbierała wszystko, popłakała, uznała słuszność twierdzeń córki, i znowu ubolewała nad tą przykrą koniecznością. Potém nasunęło się jéj myśli, że pobyt przy nich nateraz ogołaca Annę nie tylko ze wszelkich przyjemności jéj wiekowi właściwych, ale że ją nawet pozbawia i wszelkiego towarzystwa; gdy przeciwnie, w domu państwa Rożniszewskich nastręczy się niejedna rozrywka, zabawa; i znowu ubolewała, że dziecko jéj ma obcym wysługiwać się ludziom.

— Mateczko! a któż nie wysługuje się na świecie? — zawołała Anna z wesołym uśmiechem, którym chciała uspokoić i pocieszyć matkę: — jeden służy drugiemu, od najwyższego do najniższego, a wysługa jest zaletą. Wszyscy służą, od wyrobnika aż do ministra. I król służy narodowi!

— Anko! dziecko moje, umiész przekonywać! — i matka uśmiechnęła się także.

— Zawód nauczycielski, moja mamo najdroższa, —ciągnęła Anna daléj,—ma przecież zasługę prawdziwą i nieposlednią, jeżeli jest wykonywanym sumiennie; a co bywa wykonaném sumiennie, to i zadowolenie sprawia, to szczęściem jest pewnie. Myślę, że każdy stosunek w życiu można sobie uczynić przyjemnym, byle go tylko zrozumiéć, byle umiéć stosować się do okoliczności. Mateczko moja, bolesném mi będzie rozstanie... ale ożywi mnie nadzieja obaczenia was niekiedy, i że po dwóch latach, — uśmiechnęła się, — oszczędziwszy kilka tysięcy, znowu przy mateczce mojéj, siostrze i babuni zostanę. To téż i z lekką myslą chwycę się tego zawodu, i żadnego nie lękam się trudu.

— Och! dziecko moje, ale cóż babka na to powié? — i pani Jarosławska aż niby przestraszyła się tém przypomnieniem sobie świekry.

— Potrzeba jéj tylko rozsądnie, rozważnie, zwolna przedstawić wszystko; a potrzeba to dziś jeszcze uczynić, i to zaraz, ażeby mnie inna nie uprzedziła kandydatka.

— Po śniadaniu, po kawie.

— Po gawędce, która babkę w nieco dobry wprowadzi humor.

W téj chwili przerwała nadbiegająca Julka dalszą rozmowę, zawoławszy na starszą siostrę, że babka już wstaje.

Anna pospieszyła na to wezwanie, a matka jéj z pośpiechem swojego dokończyła ubrania.

W czasie śniadania, Anna, jak to zamierzyła,

wesołą pogadanką dobry humor wywołała babki. Potém skierowała rozmowę na pole wytkniętego sobie celu, a w końcu wystąpiła z zamiarem swoim.

Pani marszałkowa na to przeraziła się niemal, poczęła się oburzać, zżymać, powtarzając raz po raz:

— Jarosławska, potomka kasztelanów i wojewodów, ma pouczać *pędraki* jakichsi tam szlachciców niewielkiego imienia, a raczéj pewnie *parweniuszów!*... Nie, nie! to być nie może!

Powoli wszelako, gdy jéj Anna spokojnie, rozważnie, przekonywająco wyłożyła wszystko, i pobyt przyjemny w zamożnym na wsi domu, towarzystwo dobre, i płacę 3,000, co dzisiaj dla nich dość znaczną stanowiło pomoc, dopóki kierejskiéj nie odbiorą sumy; a młoda dziewczyna mówić umiała, bo nią powodowało najszlachetniejsze uczucie, to i poczęła słuchać jéj uważniéj i z większym spokojem.

Dołożyła pani Wincentowa także swoje zdanie i uwagi; rozbierano wszystko, wyłuszczano korzyści, wspomniano i na odległość niewielką przez ułatwienie podróży koleją żelazną, że wreszcie pożądany zamysł Anny zaczął poniekąd i do babki przystawać.

— Kiedyćby tak już koniecznie być miało,—wymówiła w dalszym ciągu, — to już i wolę, że przyjmiesz obowiązek taki nie w domu rodziny postawionéj wyżéj, albo skoligaconéj z nami. Rożniszewscy nie są znani. Zresztą — i uśmiechnęła się dziwnie — w *takich nowych pałacach* to i życie bywa wygodne i płacić czém mają, a starają się błyskotną wystawnością zasłonić przypomnienia dawniejsze. Myślę [także, że powinniby umiéć szanować pannę Jarosławską.

Rozmowa w ten sposób potoczyła się daléj, aż wreszcie babka wyrzekła:

— Ha! niechżeż się stanie wola twoja... może to jest i Boża wola! Ludwik Filip także *nauczycielstwo traktował.*

— A na wygnaniu, ileż to jest dawnych historycznych nazwisk, których właściciele ciężko nieraz na kawałek chleba zarabiać sobie musieli! — zawołała Anna.

— Tak, tak, bywało to i to bywa!... No, jak odbierzemy 300,000 na Kierejach, to i wszystko inaczéj będzie. Jeżelić zaś ta bieda już koniecznie ma nastąpić, — dodała babka smutno pokiwując głową, — to pamiętajcie, że sobie zastrzegam i jako warunek kładę, aby nie pomiatano nazwiskiem Jarosławskich, i Annę tylko przy ważniejszych okolicznościach nazywano *panną Jarosławską*, w zwyczajném zaś życiu domowém *panną Anną* tylko; aby pani zawarowała dla niéj przynależny szacunek i względy; aby nie żądano po niéj robienia i nalewania herbaty, zwłaszcza téż przy gościach, i ażeby służba dla niéj *respekt* znała. Kasieńko, pamiętajże o tém! — i zwrócona ku synowéj, ze znaczeniem pokiwnęła palcem.

— Zastrzegę to wszystko, niechaj mama będzie spokojna! — odrzekła pani Wincentowa.

Anna ze łzą w oku, z uśmiechem na ustach uściskała babkę, zadowolona, że przychyliła się do jéj zamiaru, a zarazem i bolejąca na wspomnienie rychłego pożegnania istot jedynie ukochanych na ziemi.

Przed południem udała się z matką do pani *. Obiedwie włożyły lepsze suknie i uzbroiły się w odwagę, która ich twarzom wyraz spokoju i powagi nadała. A jedna przed drugą smutek taiła wewnętrzny.

W drodze wymogła Anna na matce, by nic nie wspomniała o warunku babki, który ją miał zabezpieczyć od robienia i nalewania herbaty.

— Byłoby to śmiesznością, mamo najdroższa,— dodała, — a powodu do śmiechu potrzeba szczególniéj w naszém położeniu unikać. Cóżby to zresztą i ubliżającego być miało, gdyby tego zażądano po mnie?

Matka zezwoliła na wymazanie tego jednego warunku.

Pani * powitała je z wyszukaną grzecznością, widocznie uradowana z tak dobréj *akwizycji.* Wychwalała wielce dom cały państwa Rożniszewskich i wystawiała pobyt tamże jakoby prawdziwy raj ziemski. Przyczém podała im liścik samegoż pana. Brzmiał jak następuje:

„Zamek Trock 2 Sierpnia 185.*

Potrzebujemy guwernantki dla córeczki naszéj jedenastoletniéj, panienki bardzo uzdolnionéj, która już od roku trzeciego swojego życia miewała *bony* i *guwernantki francuzkie*, ażeby nauczyła się dokładnie tego języka i dobrą miała *pronuncjację*. Guwernantka zaś, któréj teraz żądamy, powinna być Polką, bo córeczka nasza dotąd mało polskiego uczyła się języka. Ale znać winna obok tego muzykę, rysunki, robótki różne, historję, jeografję, literaturę, mitologję, i języki: francuzki, angielski, włoski i niemiecki, przynajmniéj o tyle, ażeby panienkę w tychże językach pouczać umiała.

Ponieważ zaś jedenastoletniéj panienki nie należy zbytecznie lekcjami męczyć, panna guwernantka ma niejako być i damą do towarzystwa przy starszéj córce naszéj, pannie Klementynie: będzie jéj głośno czytywała, gdy tego zażąda, i pójdzie z nią na spacer, jeżeli ją zawezwie.

Za to będzie panna guwernantka pobierała roczniéj pensji 3.000 złotych polskich, a rozumié się, że

przytém jeszcze znajdą się i *prezenciki*, jeżeli panna guwernantka na nasze zadowolenie zasłuży. Pokój piękny z gabinecikiem, dziewczynę do posługi i wszelkie zapewniamy wygody.

Towarzystwo u nas bywa wyborowe tylko. To też potrzebujemy osoby, któraby w takiéj sferze żyć umiała, i nie była obcą w wyższém życiu salonowém.

Żona moja pragnie jak najrychléj taką osobę w domu swoim ujrzéć, bo córeczka nasza zostaje obecnie bez mentorki.

Ja wyjeżdżam na parę miesięcy za granicę, proszę więc wprost do żony mojéj list adresować.

Powóz na dworcu kolei żelaznéj w L. M... będzie w dniu oznaczonym czekał na pannę guwernantkę.

Zrób tylko pani dobry wybór, i powiadomienie o tém nadeślij rychło.

życzliwy

Jan Henryk Rożniszewski."

Matka i córka z uśmiechem pismo pana *Jana Henryka Rożniszewskiego na Trocku* przebiegły; czego wszelako stręczycielka nie dostrzegła, zajęta jedynie wyliczaniem wielkich zalet téj nader zamożnéj rodziny.

— Oboje państwo, — mówiła, — są bardzo dobrzy i zacni; panna Klementyna jest prześliczną osobą, wykształconą bardzo, uwielbianą przez wszystkich, a Klocia, to aniołek prawdziwy. Dom prowadzą na wielką skalę i mają poważanie ogólne. Będziesz tam pani szczęśliwą prawdziwie! — i uścisnęła Anny rękę z przymileniem.

Nastąpiła zatém ugoda, i panna Jarosławska zobowiązała się dnia 16 Sierpnia stanąć we dworcu kolei żelaznéj w L. M...

Przez dnia resztę i wieczór, myśl matki, córki i babki zajęta była jedynie Trockiem i przyszłym, trudnym zawodem Anny. Dopiero po wieczerzy, pragnąc zapewne myślom zwrot inny nadać, wezwała ją babka, ażeby na fortepianie zagrała. Chętnie na to wezwanie pośpieszyła wnuczka.

— A co zagrać, babunieczko?

— Co tam ulubionego, dziecko.

Lekkie palce młodéj dziewczyny przebiegły polotnie klawijaturę, pochwyciła kilka dźwięcznych akordów, znowu przejść parę miękkich, mollowych powiało, i tony przelały się rzewnie w znaną nutę: *Ten brzeg Wisły, ten szczyt wieży...*, tyle ulubioną przez babkę, bo zawodzącą ją wspomnieniem w młode lata, gdy tę piosenkę śpiewała sama. To też, przykiwując głową, miarę znaczyła, przycichłém wtórowała nuceniem, i pewnie w myśli jéj na chwilę wspomnienie zamajaczyło przeszłości. Smętna fantazja objęła piosenkę, powtarzała się na różne tony, w różnych odcieniach melodyjne przejścia płynęły daléj, a daléj.... potém zakończył polonez Ogińskiego, także wielce ulubiony przez babkę. Dźwięki umilkły, chwilowa cisza zaległa pokój. Babka zawołała wnuczkę do siebie.

— Dobrze, pięknie, moje dziecię, Bóg ci zapłać! — i uścisnęła ją serdecznie. A teraz zaśpiewajże nam jeszcze — i musnęła ją pod bródkę.

Anna pospieszyła do fortepianu, i zaśpiewała *Galary*. Głos jéj młody, świeży, metaliczny, pełny i niewymownie miły, naginał się uroczo do téj cudnéj piosenki. Daléj zanuciła weselutką śpiewkę francuzką, że aż zaśmiała się babka.

Gdy następnie w skromném mieszkanku już całkiem ucichło i babka zasnęła, siedziała Anna jeszcze na nizkiéj ławeczce przy łóżku matki, i przyciszonym głosem znowu o Trocku nuciła.

— Dziecko moje, — przemówiła matka, — posłuchaj rad moich, co do przebywania swojego w obcym domu, bo je na doświadczeniu opieram. Stanowisko twoje będzie wprawdzie zależne, ale postaw się tak, ażeby ta zależność uczuć się tobie nie dała: bądź z przynależnym szacunkiem dla wszystkich, uprzejmą, uczynną, względną, *z życzliwości usłużną*, ale nie uniżaj się przed nikim, i nie chciéj wyrazem pochlebstwa niczyich pozyskać względów.

— Och, mamo! — zawołała młoda dziewczyna, składając dłonie, — nigdy, o nigdy! Przecież ja pochlebiać nie umiem!

— Ale widząc dworactwo takie u drugich, łatwo przejąćbyś je także mogła, zwłaszcza gdybyś spostrzegła, że dobrze przyjętém bywa. Jest to zwyczaj wielce upowszechniony, niestety! ubliżający każdemu ktokolwiek podobną monetą chce sobie łaskę możniejszych okupić; wielu w tém poniżającém kłamstwie nawet i nic odrażającego nie widzi. Uczciwe wszelako uczucie zapatruje się inaczéj. Bądź przeto z szacunkiem dla państwa Rożniszewskich, staraj się *godziwém postępowaniem* o ich przychylność, ale nie bądź uniżoną; *nie przytakuj* bezwzględnie dla przypodobania się, i nie syp przed nimi kadzideł! Łatwo to każdy na takiém pozna się *służalstwie*, bo naprawdę, że wyraz ten pochlebcom przystoi: rozsądnych i prawych zrazi, odstręczy; a ci, którzy wymagają, by przed niemi trybularz noszono, najmniéj zapewne na to zasługują. Nie pochlebiaj! powinno być jednėm z *przykazań* w życiu naszém społecznėm, a mniéj byłoby złego. Nie czyń nikomu powierzeń żadnych, bo nie wszystkim ufać można. Jesteś młodą, masz zbyt wiele dobréj wiary, a dużo jest podstępu i chytrości w świecie. Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby tak wiele złych i niegodnych było ludzi, ale często

i lekceważą takie zaufanie, bez zastanowienia się nad tém co czynią. Unikaj dowiedzenia się tajemnic domowych, bo świadomość taka tylko niepokoju nabawić cię może; nie chciéj być powiernicą tajemnic niczyich. Nie bądź skrytą, nieufną, ale téż i nie zanadto otwartą; zbyteczna otwartość jest poniekąd słabością, a często i na niedorzeczność zakrawa. W domu, do którego składu wchodzisz, jest młody człowiek, syn państwa Rożniszewskich: bądź dla niego grzeczną, lecz zdaleka zawsze. Nie okazuj, że ciebie obecność jego *ambarasuje*, ale przestrzegaj ściśle granic, jakie tobie wrodzony instynkt niewieści, wychowanie i umysł uprawny naznaczają; miéj się na baczności, by ciebie grzeczności jego i miodowe nie złudziły słówka, tak powszednie w życiu towarzyskiem i w ustach lekkomyślnych młodzików. Bez przesadzenia unikaj poufalszych z nim rozmów i każdego sam-na-sam. Przestrogę tę nadto zastosuj i do wszystkich w ogóle mężczyzn: oko matki nie będzie tam nad tobą czuwało, pamiętaj przeto na jéj słowa.

— Zapiszę je sobie w sercu, mateczko jedyna, i pewno nie zapomnę żadnego!

— Nie potrzebuję dodać, — ciągnęła daléj matka, — ażebyś dla uczennicy swojéj z najwyższą była życzliwością, ażebyś ją kochała, i całą zapragnęła duszą, by ziarno, które rzucisz, plon pożądany przyniosło, bo znam sumienność twoją.

— Och, mamo! chciałabym w nią odrazu wszelką umiejętność moją przelać.

— Względem téj starszéj panny, dorosłéj, bądź szczerą, przyjazną, pozostawiając jéj wszelako zawsze pierwszeństwo bez uniżenia saméj siebie. Unikaj także, ażebyś z nią nigdy na stopie jakiegokolwiekbądź współzawodnictwa nie stanęła, bo wtedy miałabyś z niéj niechętną sobie, jeżeli nie nienawistną zupełnie. Nawet i pod względem ubioru bądź ostrożną: nie naśladuj jéj stroju i nie chciéj być lepiéj od niéj ubraną. Ubiór u kobiet zwykle ważną jest rzeczą, a potrafi zrodzić zazdrość i nieprzyjaźń. Dla służby bądź uprzejmą, względną, dobrą, lecz nie spoufalaj jéj do siebie. Nie upatruj słabostek w osobach, z któremi żyć będziesz, a gdy takowe ciebie zrażą, odwróć oczy i nie chciéj ich dostrzedz: nikt nie jest bez *ale!* Pracuj ciągle nad sobą i staraj się ze wszystkiego moralną odnieść korzyść. Wiem, że próżnować nie lubisz, a zatém dodać nie potrzebuję, ażebyś nigdy bez zajęcia jakiegobądź nie zostawała. Praca i zajęcie strzegą nie tylko od nudów, ale i od złego; to w przygodzie każdéj są najwierniejsi przyjaciele nasi. A teraz, dziecko, idź już na spoczynek, bo oto trzy kwadranse na jedenastą wybiły.

Anna ucałowała rękę matki; zmówiła pacierz, ale długo, długo usnąć nie mogła, rozważając całą duszą każdą naukę, każdą posłyszaną uwagę.

Dnia 15 Sierpnia, dzień Matki Bozkiéj, był przeto ostatnim, który Anna pomiędzy swojemi spędziła. Z rana poszły wszystkie cztery do kościoła księży Karmelitów, i wysłuchały Mszy świętéj. Potém skromny zjadły obiadek; a gdy babka, jak zwykle, przespała się nieco, poszły do ogrodu saskiego i posiedziały w nim parę godzin. Wieczór upłynął na gawędce; och! a ciężko każdéj z nich było, gdy sobie powiedziały: *dobra noc!*

Anna długo zasnąć nie mogła: przed jéj oczami majaczył Mrowin, szczęśliwe dni dzieciństwa, ostatnie lata, ostatnie chwile i pożegnanie! O! i jutro znowu pożegnanie ją czekało, jeszcze boleśniejsze od tamtego. A potrzeba było w całą uzbroić się odwagę i siłę: nie pokazać łez matce, nie dopuścić, by babka żal jéj odgadła, i dać dobry przykład młodszéj siostrzyczce. Skleiła wreszcie powieki. Myśli plątać się poczęły, senne nastąpiło marzenie: biegała po pięknych, zielonych polach, po łąkach kwiecistych; przed nią uroczy rozpostarł się ogród, po za obszernym trawnikiem wielki, szarawy dworzec, daléj jezioro, matka biegła ku niéj z wyrazem anielskim w rysach. Julka skakała; widziała i jakieś obce, nieznane osoby, i babkę, która z uśmiechem radości ku niéj wyciągała ręce... Zbudziła się, a gdy rozmarzenie minęło, poszepnęła sobie: „znać śnił mi się Trock“, i zacisnęła dłonią oczy, a łzy tęskne po jéj spłynęły licu.

Brzask poranny zajrzał w okno. Matka poruszyła się zbudzona. Zegar ścienny trzecią wybił godzinę, i Anna szybko powstała, bo wszakże pociąg wychodził o szóstéj.

Ruch niezwykły, a raczéj pewnie niepokój moralny, czuwanie wewnętrznego ducha postawiły marszałkowę już przed godziną piątą na nogach.

Porwała się i Julka, i zapłakała.

Po raz ostatni wypiły kawę pospołu, którą zaledwie przełknąć zdołały.

O kwadrans na szóstą zaszła dorożka i zniesiono rzeczy.

Anna rzuciła się do stóp babki, która ją przytuliła do serca, i rozpłakała się rzewliwie: ona, co tak rzadko płakała! O mało, że te łzy sędziwéj niewiasty, obfite, żałosne nie złamały wymuszonéj siły młodéj dziewczyny. Objęła raz jeszcze jéj kolana, ucałowała Julkę, ścisnęła rękę Marysi, i lotem błyskawicy po schodach zbiegła. Matka zwolna szła za nią.

Wsiadły, i dorożka zaturkotała na bruku. Julka oknem wyglądała, dopóki w Orlą nie skręciły ulicę.

(d. c. n.)